Świat powieściowy.

Nr. 137 **Tygodnik belletrystyczny.** Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Oko w oko z basztą przez ordynata zamieszkałą, stała całkiem osobno jedna skała olbrzymia, piramidalnie przez naturę ukształtowana, barwy czerwonobrunatnej; szczytem po nad wszystkie inne górując, podobną była do wodza, armię całą w bój prowadzącego. Wprawdzie od zamku dzielił ją wąwóz szeroki, a jednak zdawała się tak blisko, tak blisko, jakby groziła zamkowi, iż kiedyś legnie pod lawiną, z jej szczytu śnieżnego spadającą, za karę, iż śmiał wznieść dumnie czoło prawie z nią na równi, iż wdarł się samowładnie w miejsce niedostępne, gdzie dotąd ona jedna królowała.

— Będziemy mieli burzę — Rajmund Werdenfels wskazał ręką na skałę. — Skoro „Dziewica z lodu“ (bo tak lud okoliczny nazywa tę naturalną piramidę) tak się zdaje przybliżać, musimy być na to przygotowani.

— Aaa! Więc ta skała jest rodzajem prorokini? — wtrącił Paweł. — Zapewne i nie jedna legenda z nią związana? Wygląda istotnie złowrogo, niby straszne, krwawe widmo! Wyznam szczerze, iż nie potrafiłbym żyć z tą ścianą kamienną przed oczyma!

— Mnie bo ona wcale nie wadzi... Od lat wielu znamy się z „Dziewicą z lodu...“ aż nadto dobrze!

Słowa te na pozór nic w sobie nadzwyczajnego nie zawierały, a jednak uderzył młodego człowieka ton mowy, jak i cały wyraz stryja fizjonomji. Zrazu wziął nieruchomość rysów za prostą oziembłość i pańską dumę, było to atoli czemś innem zupełnie. Rysy te widocznie skamieniały, a wyraz ich ponury grozą tajemną przejmował. Wszelkie życie w nich ustało, żaden muszkuł nie drgnął uczuciem czulszem, namiętniejszem, wszystko co ludzkie, zdawało się w tej twarzy, jak i w sercu, na wieki pogrzebane. Wzrok jego wprawdzie błądził po szczycie „Dziewicy z lodu“, zrumienionej blaskiem słońca zachodzącego, ale i w tem spojrzeniu była sztywność, był spokój śmierci!

Rajmund odczuł magnetycznie badawcze spojrzenie młodszego kuzyna, gdyż nagle zwrócił się ku niemu z pytaniem:

— Jakże ci się krajobraz ten podoba?

Paweł zawahał się przez chwilę.

— Nie umiałeś widocznie poznać się na jego piękności majestatycznej?

— Jeżeli mam być szczerym.. nie! Nie odmawiam mu bynajmniej pewnej wspaniałości... romantyczności dzikiej... może nawet kogoś zająć, zachwycić... ale przez godzin kilka... najdłużej! Gdybym jednak był skazany, patrzyć dzień po dniu na taką martwą przyrodę, w pierwszym zaraz tygodniu powziąłbym niezawodnie myśli samobójcze, a w drugim uciekłbym czemprędzej do pierwszej lepszej wioszczyny, byle znowu znaleźć się pomiędzy ludźmi, byle nie czuć się tak osamotnionym wśród tej puszczy skalistej!

— Tak! tak! wyrzec się ludzi, rozrywek światowych — ordynat uśmiechnął się ironicznie — dla ciebie nader to twardy orzech do zgryzienia! Ja bo lubię nad wszystko... samotność!

Wszedł nazad do pokoju, drzwi zamknął od balkonu, i usiadłszy na dawnem miejscu zaprosił Pawła, aby to samo zechciał uczynić.

— Nie domyślasz się, dlaczego zaprosiłem ciebie do Felseneck? — spytał.

— Nic a nic! Muszę nawet wyznać, iż mię to wezwanie nie mało zdziwiło... Nigdy dotąd stryj nie zdradzał chęci podobnych...

— I teraz nie dla własnej przyjemności widzieć ciebie zapragnąłem... tylko dlatego, iż zaszła gwałtowna potrzeba skrócić twój pobyt we Włoszech. Czyżeś tego sam nie zrozumiał?

Paweł spojrzał mu w oczy pomięszany.

Przecież stryj nie mógł dowiedzieć się niczego więcej o jego pobycie w Wenecji, jak tyle tylko, ile on mu o tem donosił.

— Ja?... — szepnął zarumieniony. — Nie pojmuję doprawdy?...

— Wiesz dobrze — Rajmund mówił dalej ze spokojem lodowatym — iż opiekunem twoim zostałem li dla formy. Nie narzucałem się z radami, od śmierci matki twojej zostawiwszy ci wszelką swobodę. Nie lubię grać roli srogiego, surowego mentora, i teraz wmięszałem się w twoje sprawy bardzo niechętnie, co jednak tyś własnem postępowaniem wywołał. Bądź jak bądź, ojciec na łożu śmiertelnem powierzył cię mojej opiece, nie mogę zatem pominąć zupełnie raz przyjętych obowiązków. Postarałeś się o to, i zmusiłeś mnie do wystąpienia z całą powagą opiekuna.

Twarz i czoło Pawła oblał wstydu rumieniec. Zrozumiał aż nadto dobrze, co znaczą słowa stryjowskie, chociaż nie mógł pojąć, jakim cudem doszły aż do tej odludnej pustyni, echa jego figlów rozmaitych. Spróbował bronić się jednak.

— Nie wiem, o czem stryjaszek mógł się dowiedzieć, zapewniam tylko, iż...

— Oh! nie potępiam cię przez to i niczego ci nie wymawiam. Jesteś młody, spragniony życia i jego roskoszy, a nadzwyczajnie przystępny i uległy obcym wpływom. Nie dziw zatem, żeś się dał unieść prądowi niebezpiecznemu. Nie każdemu atoli daną jest owa siła zbawcza, owa męzka energja, która pomaga w takim wypadku do cofnięcia się, póki nie jest zapóźno, pókiśmy tylko popełniali szaleństwa, nie naruszając praw surowych honoru. Ty jej dotąd Pawle zupełnie nie posiadasz, dlatego dłoń moja musiała wyrwać cię z otchłani, w którą na oślep leciałeś. Szkodaby cię przecież było, gdybyś miał w latach dwudziestu czterech utonąć w wirze bezmyślnej rozpusty, i zmarnować się na zawsze!

Młody człowiek patrzył w posadzkę, a krew całą falą biła mu do głowy. Nie słowa same go raniły, wszak zaledwie lekki wyrzut zawierały, a on poczuwał się do wielkiej winy, i zasłużył na daleko ostrzejsze wymówki. Dotknął go atoli boleśnie spokój lodowaty brak zupełny współczucia w tonie całej przemowy. Wydawało mu się, jakby to nic a nic barona Rajmunda nie obchodziło, czy młody jego krewny przepadnie na wieki, czy też wypłynie z tej toni. Wdaniem się w tę sprawę dopełniał tylko powinności, która była mu widocznie uciążliwą, a o serdecznem zainteresowaniu się pupilem, mowy nawet nie było!

— Słusznie stryj mówi! — odezwał się wreszcie młody człowiek, nadludzkim wysiłkiem stłumiwszy gniew i ból, który nim miotał — byłem lekkomyślnym i niewdzięcznym w obec dobrodzieja, któremu tak wiele winien jestem! Proszę mi jednak wierzyć — tu podniósł wzrok od ziemi, i wpatrzył się śmiało w barona swojemi pięknemi, serdecznemi oczami — proszę wierzyć, iż nie raz sam to gorżko czułem, chciałbym był szczerze oprzeć się pokusom, ale...

— Tak nazwani przyjaciele od serca, a raczej od kieszeni — dokończył za niego baron Rajmund — nie dopuścili nigdy do tej zmiany chwalebnej. Wiem i o tem dokładnie. Był tam szczególniej jeden, niejaki Bernardo, który cię namawiał do najdzikszych i najszaleńszych wybryków.

— Nie pojmuję — Paweł bąknął pomięszany — kto mógł stryja tak dokładnie zapoznać, z całem mojem w Wenecji otoczeniem?

Ordynat pytanie to pominął milczeniem, i mówił dalej, z tą samą co pierwej wielko-pańską oziembłością:

— Uznałem potrzebę konieczną wyrwania cię z pomiędzy tak niebezpiecznych przyjaciół, dlatego zażądałem, abyś wracał natychmiast. Spodziewam się, iż zerwiesz na zawsze wszelkie wiążące cię stosunki z tą szajką łotrowską, przedtem jednak potrzeba wypełnić pewne... zobowiązania, któreś zostawił po za sobą, nieprawdaż?

— Tak jest! — szepnął Paweł cichutko.

Nadeszła chwila nieszczęsnej spowiedzi. Lękał się jej okrutnie, a jednak nie wyobrażał sobie ani w połowie, żeby mogła być dla niego tak ciężką do przebycia! Oziembłość stryja lodowata, musi teraz przemienić się w gniew srogi, gdy dowie się o sumie długów zaciągniętych. Baron Rajmund nie okazał atoli pod tym względem najlżejszej ciekawości.

— Udasz się w tym interesie do mojego adwokata, doktora praw, pana Freising'a, który dotąd załatwiał dla ciebie wszelkie pieniężne posyłki. Dam mu znać w liście, żeby zajął się natychmiast uregulowaniem tej sprawy. Mieszka ztąd o dwie mile, w miasteczku P., więc możesz z nim wszystko dokładnie omówić.

Uczynię to, skoro stryj tak sobie życzy — Paweł odrzekł wahająco — suma to jednak znaczna... nawet bardzo znaczna... i ja..

— Wymienisz ją adwokatowi. My dwaj nie potrzebujemy dłużej tej kwestji roztrząsać. Żądam tylko od ciebie słowa honoru, iż będziesz szczerym, i żadnego z twoich długów nie zataisz. Resztę Freising załatwi.

Młody człowiek oniemiał, nie umiejąc zdać sobie sprawy na razie, czy mu się lżej, czy jeszcze cięźej na sercu zrobiło. Tak się lękał owego wyznania, a tymczasem wszystko poszło nadzwyczaj gładko, bez cieniu jakiejś sceny gwałtowniejszej. Stryj nie spytał nawet, ile wynosi suma, która przedstawiała niestety wcale ładny mająteczek, przyrzekał wszystko zapłacić, bez słówka nagany, a jednak sposób zimny, lekceważący, z jakim to czynił, drażnił i upokarzał Pawła do najwyższego stopnia! Byłby wolał najostrzejsze wymówki, niż podobne przebaczenie, a gorące słowa podzięki, które chciał wylać z serca wdzięcznością przepełnionego, nagle na ustach mu zastygły.

— Dzięki stokrotne! — wyjąkał wreszcie z trudnością. — Nie myślałem, że stryj tak się będziesz na tę sprawę zapatrywał... na przyszłość jednak, będę się starał inaczej, niż dotąd, zasługiwać na tyle dobrodziejstw.

Ordynat utkwił wzrok badawczy w młodzieńcu, jakby chciał myśli jego przeniknąć, ale i to spojrzenie mroziło zupełną obojętnością.

— Będę się tem szczerze cieszył, przez wzgląd na ciebie samego. A teraz ani słowa więcej o tem wszystkiem! Sprawa załatwiona, puśćmy ją zatem w niepamięć!... Czyś zadowolony z wyznaczonych ci pokoi? Zdaje mi się, iż przywiozłeś z sobą własnego służącego?

— Tak jest... starego Arnolda, który nigdy się ze mną nie rozłącza.

— Od jak dawna służy w twojej rodzinie?

— Oh! przeszło lat czterdzieści. Dostał mi się niejako w spadku po rodzicach.

— I jesteś z nim zapewne na stopie bardzo poufałej?

— Tak niestety! — Paweł wzruszył litościwie ramionami, w głowę zachodząc, dlaczego stryj tak na

wszystko obojętny, wypytuje się szczegółowo o starego sługę, którego nie zna zupełnie. — Arnold na rękach mnie wynosił, wypiastował, i jak sam utrzymuje: „Od lat dziecięcych wychowywał.“ Jesteśmy wprawdzie ze sobą wiecznie na stopie wojennej, gdyż Arnold aż nadto często zapomina o roli sługi, i chciałby w obec mnie jak karcący mentor występować, wiem jednak, iż jest mi z duszą i ciałem oddany, zresztą i ja szczerze się do niego przywiązałem... nawet do jego gderania nieznośnego tak jestem przyzwyczajony, iż bym się już bez niego obejść nie potrafił.

— Trzeba nie jedno wybaczyć takim starym sługom — wtrącił ordynat. — Uważają się niemal za członków rodziny, i poniekąd mają pewne prawo do tego. Zatrzymaj przy sobie Arnolda.

— Czyżby stryj raczył się tym starcem interesować? — spytał Paweł, uderzony słowami łaskawemi. — Czułby się nader szczęśliwym, gdyby mu wolno było przedstawić się stryjowi.

Ordynat machnął ręką przecząco.

— Tego sobie nie życzę. Nie znoszę widoku obcych twarzy... I jeszcze jedno Pawle!... Uwolń mnie raz na zawsze od tytułu „stryja.“ Najprzód, jestem tylko twoim dość dalekim krewnym, zresztą nie ma znowu między nami tak wielkiej różnicy w latach, abym z twojej strony na tak poważny tytuł zasługiwał. Jestem tylko o lat dziesięć starszym od ciebie. Nazywaj mnie na przyszłość Rajmundem po prostu!

Paweł spojrzał na ordynata zdziwiony niesłychanie. Miał więc dopiero lat trzydzieści cztery, a on byłby go na śmiało osądził, iż ma blisko pięćdziesiąt! W rysach wprawdzie przebijał się pewien urok młodości cera jednak była tak żółtą, a czoło tak głęboką bruzdą przeorane, że łatwo można było pomylić się w sposób tak niekorzystny.

— Co do twojego stałego pobytu, zostaniesz chwilowo w Felseneck — prowadził ordynat rzecz dalej najspokojniej. — Wiem, że ci to nie w smak będzie, postanowiłem jednak nie narażać cię na nowe pokusy, wysyłaniem na zimę do stolicy. Konie moje i psy są na twoje rozkazy, możesz wyjeżdżać, jak często tylko zapragniesz, czy konno, czy powozem. Polowanie w górach niezrównane! zwierzyny mnóstwo! Bibljoteka moja, bardzo znaczna i doborowa, stoi także dla ciebie otworem. Musisz zatem skracać czas jak możesz, w samotnem i ponurem Felseneck, gdyż mnie będziesz nader rzadko widywał. Nie lubię zmieniać w czemkolwiek trybu życia, odstępować od moich nawyczek. Wśród zimy znajdzie się może jakie zatrudnienie, które da ci na przyszłość pewien cel w życiu. A teraz żegnam cię Pawle na dzisiaj!

„Wśród zimy!“ Paweł zdrętwiał na tę myśl, iż miałby tu, w tej strasznej pustyni, zimę całą spędzić! Przerażony, nie znalazł nawet na razie odpowiedzi. Nie! on w Felseneck nie da się żywcem pogrzebać! Ale jak tu oponować, w obec faktów tak wielkiej doniosłości, jakiemi były długi jego?! Słowa ordynata brzmiały wprawdzie najspokojniej, ale nie mniej czuło się w nich postanowienie niezłomne, rozkaz surowy. Czyż mógł się sprzeciwiać woli kuzyna, odebrawszy przed chwilą dowód tak nieograniczonej wspaniałomyślności?! Skłonił się więc w milczeniu i wyszedł. Ordynat skinął mu obojętnie ręką na pożegnanie, a sam wyszedł znowu na balkon i zapatrzył się, tonąc w głęboką zadumę, w szczyt skały, łuną wieczorną zrumieniony.

III.

Nie przesadziliśmy zupełnie, wspomniawszy przedtem, iż ordynat w Felseneck był jakąś postacią bajeczną, stanowił rodzaj zagadki dla całej okolicy. Im mniej dbał i pytał się o świat i ludzi, tem więcej się ludzie o niego pytali i tem gorliwiej świat rad by był podglądnąć i wynicować każdą Rajmunda Werdenfels'a czynność najdrobniejszą.

Pogłoski o nim obiegające, były po większej części tak dziwaczne, iż rozsądniejsi mieli je po prostu za bajki dziecinne i tylko w to jedno wierzyli, że baron Werdenfels stał się skończonym mizantropem, nienawidzącym ludzkość całą. Innego tłumaczenia nie można było znaleść, dla tak dziwnych, jak jego postępków. Zerwał wszelkie ze światem stosunki, za próg zamku w Felseneck nie wyjeżdżając. Dla własnych urzędników był niewidzialnym, zamek otoczył formalnie kołem zaklętem, po za które nikt bezkarnie przejść nie mógł. Służba odebrała na tym punkcie najsurowsze rozkazy. Zamek nie otwierał bram swoich dla nikogo, prócz dla wezwanych przez samego barona Rajmunda.

W jego sferze, podobne postępowanie wywołało najprzód wielkie zdziwienie, następnie zaś ostrą krytykę i naganę. Magnaci nie mogli mu przebaczyć, nie mogli oswoić się z tą myślą, żeby człowiek tego imienia i stanowiska, powołany tak olbrzymim majątkiem jak i tradycją odwieczną rodu znakomitego Werdenfelsów, do piastowania najwyższych w kraju dostojeństw, żeby człowiek taki opuszczał arenę polityczną, wyrzekał się i pogardzał niemal wszelkim wpływem, on, najbogatszy, największy pan w całej prowincji! Usunięcie się jego i oszańcowanie w nieprzystępnych murach zamku w Felseneck, uważano prawie za haniebną dezercją, za sprzeniewierzenie się w obec swoich. Usunięcie się ze stanowiska, barona Werdenfels'a, poczytywali jemu równi za osobistą obrazę.

Stokroć gorzej stały jeszcze akcje ordynata na Werdenfelsie, w obec ludu prostego. W jego własnych dobrach nienawiść przeciw niemu, objawiała się i występowała tak w słowach, jak w czynach najjaskrawiej. Nawet liczni oficjaliści, bądź trudniący się ekonomją, bądź też pilnujący borów niesłychanie rozległych, nie bardzo ujmowali się za swoim chlebodawcą, chociaż stanowisko zależne, nie pozwalało im przeciw baronowi występować nieprzyjaźnie. Pod skromnemi strzechami wieśniaczemi, wierzono święcie wszystkim pogłoskom,

o baronie Rajmundzie obiegającym, a wiara ta rosła i utwierdzała się w miarę, im bajki tyczące się jego osoby stawały się dzikszemi i potworniejszemi. Była to mięszanina lęku dziecinnego, nienawiści i ciemnoty zabobonnej, która oplotła wreszcie osobistość barona jakiemś kołem zaklętem czarów, przypisując mu niemal moc szatańską, w opętywaniu i szkodzeniu ludzkim istotom.

Paweł bawiąc czas dłuższy za granicą, nie znał prawie tych stosunków. Coś kiedyś ogólnikowo o uszy mu się obijało, a i tego było aż nadto wiele, aby pobyt w Felseneck wydał się młodemu człowiekowi nieznośnym i niemożebnym. Znał teraz dokładnie powody, które skłoniły opiekuna do zawezwania go przed swoje oblicze, i musiał w duchu przyznać, iż zachodziła tego gwałtowna potrzeba, ale odkąd zetknął się osobiście z szanownym stryjciem, (jak zawsze barona Rajmunda stary Arnold tytułował) wiedział również, iż to wmięszanie się energiczne w sprawę pupila, było ordynatowi wielce niemiłem i niedogodnem. Bądź jak bądź, obecność młodego, roztrzepanego chłopca w Felseneck, psuła nie w jednem szyki przyzwyczajonemu do zupełnej samotności odludkowi, budziła echa uspione w ponurej ciszy zamkowej, uznał to jednak za swój obowiązek, usunąć młodzieńca na czas dłuższy od pokus światowych i to co postanowił, przeprowadzał z żelazną konsekwencją. Podobna pokuta atoli — jak słusznie ordynat zauważył — nie była zupełnie do smaku Pawłowi, wszedł też do swoich pokoi, gdzie właśnie stary Arnold zajęty był kufrów podróżnych rozpakowywaniem w humorze najfatalniejszym, z wyrazem w twarzy ponurym, jak chmura gradowa.

— Rozpakujesz tylko Arnoldzie — przemówił tonem rozkazującym — mniejszy kuferek, tyle, żeby na tydzień wystarczyło. Dłużej pod żadnym warunkiem tutaj nie zabawimy!

— Tak? — Arnold wstrzymał się na chwilę w zatrudnieniu i wypatrzył się ze zdziwieniem na mówiącego. — Stryjcio nasz zatem pozwala na odjazd?

— O! stryj szanowny — Paweł zaśmiał się z gorzką ironią — raczył mi rozkazać, abym się przygotował na spędzenie zimy w tej dziurze przeklętej! Mam pokutować za wszystkie grzechy moje, a przytem przejść kurs cały pod jego bokiem, nienawiści do rodu ludzkiego i sposobu życia Kamedułów! Nie dam sobie atoli kary podobnej narzucić i za tydzień najdalej odjedziemy!

— Co nie, to nie! paniczu kochany! — Arnold wziął się znowu najspokojniej do przerwanej roboty.

— A ja ci mówię stary, że odjadę! — porwał się Paweł gwałtownie z fotelu — Nie mam najmniejszego powołania do reguły Kamedułów! Mamże po dniach całych uganiać na złamanie karku za gemzami, lub jak mól książkowy, utonąć w przemądrych dziełach stryja biblioteki, którą raczył oddać wspaniałomyślnie na moje usługi? Oszaleję w tym zamku jak grób smętnym i ponurym, mimo całego jego przepychu! Wydaję się sam sobie, jak ktoś zaklęty siłą nadprzyrodzoną, bo też stryj posiada widocznie moc czarownika. Nosa nie pokaże na świat boży, z nikim się nie widuje, a jednak wie najdokładniej o moich sprawkach we Włoszech, zna nawet imiennie Bernarda!

— Hm! hm! no proszę! słyszał nawet o tym djable wcielonym? — Arnold nad kufrem pochylony, zerknął z pod oka na młodzieńca, z dziwnym w twarzy wyrazem. — Doprawdy, rzecz ciekawa, kto mu też doniósł o tem!

— Czyż ja wiem?! — Paweł wzruszył ramionami. — Może mu powiedziała jego skała ulubiona: „Dziewica z lodu“! Jest w tem jakaś sztuczka djabelska, to pewne!

— Stryjaszek szanowny — ciągnął dalej stary Arnold z tajemnem zadowoleniem — musiał się bardzo gniewać z powodu naszych długów?

— Nie — Paweł brwi zmarszczył. — Okazał się niesłychanie dobrym i wybaczliwym. Wolałbym był jednak najsurowsze połajanie, najostrzejsze wymówki, niż tę wielko-pańską obojętność, z jaką obiecał wszystko załatwić i o wszystkiem zapomnieć. Nie ma w nim iskry uczucia cieplejszego, nie ma cieniu zainteresowania się moją osobą. Jak o mnie, tak samo nie troszczy się o świat cały! Wszystko co ludzkie zamarło w tem sercu kamiennem!

Arnold lubił pasjami sprzeciwiać się wiecznie i zawsze swojemu paniczowi, i wziął to sobie niemal za stałą zasadę. Tym razem wyjątkowo był tego samego zdania. Podczas rozmowy dwóch panów, puścił i on uszy pomiędzy służbę, a szczegóły, które pozbierał na prędce, o dziwacznem życiu ordynata, czyniły mu wstrętnym niemal pobyt w ponurem Felseneck, włosy jeżyły się na głowie starcowi zabobonnemu, gdy pomyślał o upiorach, które muszą najniezawodniej w tem sowiem gnieździe pokutować. Umiał jednak pogodzić się z nieubłaganą koniecznością.

— Co prawda, to prawda! — westchnął ciężko — wielkich przyjemności tutaj nie zaznamy! Nasz stryjcio najszanowniejszy — z przeproszeniem pańskiego honoru — ma bzika co się zowie!

— Oj! ma! ma! — powtórzył Paweł z głębi serca. — Czyż człowiek przy zdrowych zmysłach tak postępuje?

— To jednak nie przeszkadza, abyśmy nie mieli oddać mu czci należnej, jako głowie domu Werdenfelsów, a do tego naszemu opiekunowi.

— Jestem pełnoletni! — mruknął Paweł gniewnie.

— Ale bez pieniędzy! — uzupełnił Arnold z naciskiem. — Stryjaszek może nas wydziedziczyć i uczyni to niezawodnie, jeżeli byśmy go nie usłuchali. Ordynacja jak i dobra rozległe — panicz wie o tem dobrze — zawisły zupełnie od stryjcia testamentu. W razie gdyby nam tego wszystkiego nie zapisał, po wygaśnięciu linji starszej, rząd majątek zabierze. Nieraz o tem z goryczą mój pan wspominał, patrząc na swojego ukochanego jedynaka.

— Mniejsza o to! — machnął Paweł ręką lekceważąco. — Nie dybię na spadek po nikim! Nie czyham na śmierć niczyją, jednem słowem w Felseneck nie zostanę, niech się co chce dzieje! Powietrze za ostre na moje piersi. Za dni kilka rozchoruję się na serjo, a stryj nie zechce przecie życia mojego na szwank wystawić i uzna za stosowne zmianę klimatu... tak będzie najlepiej!

Starzec potrząsł siwą głową oburzony.

— Wstydził by się panicz takiej komedji! Twarz świeża, kwitnąca, jak róża nieprzymierzając! Gdzież tu można chorego udawać!

— Dostanę silnej gorączki! — Paweł krzyknął niecierpliwie. — Wtedy nie potrzeba bladości, przeciwnie ma się rumieńce wypieczone. Zresztą ja zbladnę, zmizernieję, wpadnę na prawdę w suchoty, gdybym zostać musiał w Felseneck! W niesłychanem swojem dziwactwie posunął się luby mój stryjaszek do tej ostateczności, iż nawet płeć piękną znienawidził. W całym zamku nie zobaczy na lekarstwo istoty rodzaju żeńskiego! Jedyną płci swojej przedstawicielką ma być ztąd gdzieś niedaleko, żona leśniczego, a i ta! — Paweł westchnął z głębi serca — ma już podobno około lat pięćdziesiąt!

Arnold zerwał się nagle od kufra, a prostując ile możności członki od starości przygarbione, stanął przed Pawłem w postawie wyzywającej z miną nader uroczystą.

— Aha! tędy droga w groch! Już to się panicz o tem dowiedział? Oj! te spodniczki! te spodniczki! całego nieszczęścia na świecie przyczyną! Wiem teraz dla czego się panicz tak upiera, aby ztąd odjechać. Wszystkiemu winna owa piękna dama z Wenecji! Dowiedziałeś się panicz jakimś cudem, że nasza towarzyszka podróży w W. pozostaje, gdy my ztamtąd zmuszeni byli odjechać; dla tego przez całą drogę był mój pan w takim piekielnym humorze! dla tego radby był uciec ztąd jak najprędzej, dla tego gotów nawet obrazić śmiertelnie stryjaszka, stracić spadek po nim, i całą przyszłość na jedną kartę postawić! Ale potrafimy temu przeszkodzić! Dalibóg potrafimy!...

— Arnoldzie! — tupnął młody człowiek nogą energicznie — wypraszam sobie raz na zawsze kazań podobnych! Zapominasz, żem od dawna przestał być dzieckiem, nad którem wolno ci było przewodzić i burmistrzować, z tytułu, iż to dziecię wynosiłeś i niejako wychowałeś. Mam lat dwadzieścia cztery i żądam od ciebie uszanowania i posłuszeństwa, które sługa winien panu swojemu!

— Na to musisz paniczu kochany ustatkować się, zmądrzeć, o tak! o wiele stać się rozsądniejszym, niż byłeś dotąd, czego mieliśmy najlepszy dowód w Wenecji — Arnold sucho odrzucił. — Ażeby sobie panicz głowy nie łamał, zkąd stryjaszek wie tak dokładnie o wszystkich naszych wybrykach... wyznam szczerą prawdę... Ja mu o tem doniosłem w liście długim, przedmiot ten należycie wyczerpującym.

— Ty?! — Paweł oniemiał z gniewu, i słowa w gardle mu uwięzły. — Tyś się odważył?!...

— Tak jest! Napisałem szeroko i długo: „Że samochcąc lecimy w przepaść, rujnując zdrowie, wyrzucając przez okno drogie pieniądze, gubiąc się z duszą i ciałem!“ Doniesienie poskutkowało, i w tydzień przyszedł rozkaz, żeby wybierać się natychmiast do Felseneck. Milczałem dotąd, bo byś panicz gotów był wcale z Wenecji nie wyjechać! I stryjcio szanowny uznał za stosowne nie wydawać donosiciela, aby mi oszczędzić możliwych nieprzyjemności. Stryjaszek bo nie wie — starzec podniósł z dumą głowę — jakie nas łączą stosunki!

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

— Zrobiłaś przedziwnie, do mnie zajeżdżając! Najprzód rolę zamienimy. Ty mnię nazwiesz ciociu, ja ciebie najmilszą, śliczną siostrzeniczką.

Erminja nie posiadała się z radości i wyraziła jej to, jak mogła najwymowniej.

— Wyznam ci szczerze, iż wzięłaś szturmem serce moje — zapewniła ją księżna — ja to więc wdzięczną ci być powinnam. Młoda, piękna, wesoła, ożywisz mój dom, najczęściej smutny i samotny. Syna mego trudno w kraju utrzymać. Jest najczęściej gdzieś za górami i morzami! Ot, i teraz, radabym ci przedstawić ordynata z Stèveville, ale nie ma go w Anglji.

Odkąd znajdowała się w salonie księżny, Erminja to bladła, to czerwieniała, na myśl, że lada chwila książe wejść może. Była to roskosz z trwogą pomięszana.

Westchnęła na wieść, że go nie ma, ale uspokoiła się jednocześnie.

— Gdy Willjam powróci, będziemy już dobre, stare znajome. Nazwiesz go od razu kuzynkiem, jeżeli mi życzysz co dobrego, aby lody światowych konwenjencji pękły za pierwszem spotkaniem. Jestem pewna, iż będzie uszczęśliwiony z takiej czarującej kuzyneczki.

— Oh! jak ja cię pokocham milady! — Erminja rzuciła się księżnie na szyję — jak ja już kocham najlepszą moją ciotunię!

— Jesteś najlepszą w świecie istotą — odrzuciła nowo kreowana ciotunia. — W całej osóbce twojej tyle naturalności, taka luba prostota, iż czuję, że cię zaczynam ubóstwiać... A więc moja piękna, ulituj się nad biedną samotnicą i u mnie zamieszkaj. Nie wypada nawet, żeby tak młoda kobieta, mieszkała sama w hotelu, choćby w otoczeniu sług starych i najzaufańszych. Poszlemy zatem po twoją służbę i manatki. Uprzedzam cię, iż odmowa pod tym względem poróżniła by nas na wieki!

Niepotrzebnie się księżna obawiała. Erminję uszczęśliwiała jej propozycja. Nie śmiała nawet marzyć o tem, żeby Willjam powróciwszy, zastał ją w domu matki, pod jej opieką wyłączną. Wykrzyknęła też radośnie:

— Ależ milady! Uprzedzasz moje najskrytsze życzenia!

— Nie nazywaj mnię inaczej, tylko ciocią — uśmiechnęła się księżna — proszę o to najusilniej.

Zadzwoniła, aby wydać rozkazy co do przeniesienia rzeczy lady Stève do apartamentu, który zajmie w pałacu.

W tej samej chwili wszedł do salonu człowiek około lat sześćdziesięciu, krzepki jeszcze, postawy wyniosłej, rysów ujmujących, ubrany najwykwintniej. Wejście bez zapowiedzenia, zdradzało stosunek nader przyjacielski, chód i swoboda pełna dystynkcji znamionowały wielkiego pana i skończonego salonowca.

— Chodź kochany hrabio, niech cię przedstawię mojej siostrzenicy, lady Stève — a zwracając się do Erminji dodała: — hrabia de Bocé, mój najlepszy, stary przyjaciel.

— Że najwierniejszy twój służka księżno, to niewątpliwe, że stary, to także jest prawdą niestety! — hrabia skłonił się nisko damom i przemówił z galanterją do Erminji.

— Moje lube dziecię — uśmiechnęła się księżna — po sposobie wyrażania się, domyślisz się od razu, że hrabia jest czystej krwi Paryżaninem. Od lat tylu osiedliwszy się w Anglji, nic nie stracił z szarmanterji wrodzonej jego ziomkom. Jeżeli dotąd niezapomniał obsypywać damy pochlebstwami i słówkami miodowemi, za to nie zawsze pamięta o wybaczliwości i miłosierdziu chrześcijańskiem... Spodziewam się, że i z tobą zacznie się niedługo przekomarzać... co będzie dobrym znakiem, gdyż u niego względy szczególne objawiają się przez zdwojoną złośliwość i uszczypliwość.

— Racz milady nie wierzyć ani słowa z tego coś usłyszała. Jestem najhaniebniej ogadany! Nikt nie może być szczerszym wielbicielem piękności, połączonej z gracją i dobrocią, niż ja, co tyle znaczy, iż znajdziesz służkę najpoddańszego w szlachcicu francuzkim, tak niegodziwie w zimnej Anglji przed tobą oczernionym... Ja mam być złośliwym?! Ah! księżno! jeżeli czasem pozwalam sobie dowcipkować ze śmiesznego napuszenia dumy niewczesnej i tych słówek zjadliwych, wypuszczanych po cichu, w sekrecie, przez niektóre lady, niby żmyjki żądełko zatrute, to tylko aby ciebie zabawić... Błagam zatem o cofnięcie sądu o mnie tak surowego i o słówko pochwały, aby młodą twoją kuzynkę łaskawiej dla mnie biednego usposobić.

— To już się stało panie hrabio! — Erminja uśmiechnęła się tak słodko, podając rękę staruszkowi, iż zyskała w nim naprawdę przyjaciela.

Monsieur le Comté, wymówione po francuzku, brzmiało tak czystym akcentem, iż tenże spytał ją mile zdziwiony, czy mówi jego językiem.

— Doskonale! — potwierdziła.

— W takim razie, mój aniołku! — zawołała księżna — podbijesz od razu serce pana de Bocé. Niecierpi języka angielskiego, dla tego zapewne, że go się dotąd dobrze nie nauczył.

— Jak widzę — odrzuciła Erminja wesoło — atakują cię hrabio na wszystkie strony. Mimo zaufania i wiary, jaką wzbudza we mnie moja ciocia, miałabym prawie ochotę wziąć pana zaraz na wstępie w obronę.

— I będziesz miała słuszność zupełną — skinęła głową księżna — gdyż w gruncie jest to człowiek najszlachetniejszy!

Rozmowa tak żywo zaczęta, prowadziła się dalej wesoło i żartobliwie.

— Podziwiam odwagę twoją milady — wtrącił pan de Bocé — iż mogłaś opuścić twoją krainę, pełną czaru i blasków słonecznych, aby oddychać mglistem powietrzem nad Tamizą. Strzeż się, żebyś tu wkrótce nie straciła swobody zachwycającej i tego świeżego, wesołego uśmiechu, który dopomoże księżnie do leczenia mnię ze *spleen*'u. Gdyby nie jej przyjaźń łaskawa, byłbym dawno umarł na czarną melancholję!

— Czemuż nie wróciłeś hrabio do Francji? — zagadnęła go księżna.

— Najprzód przez przywiązanie do ciebie okrutna! i niewdzięczna! Następnie wypędzony przez *Coup d'Etat* Bonapartego — stary arystokrata wymówił to nazwisko ze skrzywieniem, jakby połykał gorzką pigułkę — wtedy, gdy wszyscy ludzie uczciwi z Francji uciekali, nie bardzo mi się chce tam wracać i dzisiaj pod rządy Sanskiullotów. Jestem zresztą *bête d'habitude*, przyzwyczaiłem się, zrosłem z tutejszemi zwyczajami i trudno mi zmienić miejsce. Mam pałac wygodny, konie doskonałe, służbę przyzwoitą... Ręczę jednak, iż lady Stève zatęskni wkrótce za swojem niebem lazurowem. Ah! co to za kraj te Włochy! Gdy byłem w Medjolanie...

— Z moim synem — przerwała mu księżna z wymówką — którego powinieneś był przywieźć napowrót hrabio ze sobą!

— Nie moja w tem wina, jeżeli został i jeszcze dalej odjechał... Czy wspomina o powrocie?

— Dotąd nie!...

Matka ciężko westchnęła.

— Warjat skończony! — mruknął hrabia.

Erminji serce zabiło... Dla czego hrabia nazywa go warjatem? dla czego twarz księżny nagle posmutniała?

Dano znać do objadu. Hrabia podał ramię gospodyni domu, a ta znowu wzięła pod rękę swoją młodą kuzynkę.

Wieczór razem spędzony, zadecydował powodzenie Erminji. Czuła się zupełnie swobodną, między dwiema osobami rozumnemi, wykształconemi, a które okazywały jej przy pierwszem poznaniu, tyle szczerej życzliwości.

Zaraz nazajutrz księżna obwiozła lady Stève, i zaprezentowała w kółku najarystokratyczniejszem z ca-

łego Londynu.

Wizyty zajęły dni kilka. Wieczorem hrabia de Bocé, bawił się odpowiedziami Erminji, którą wypytywał o różne osoby, w ciągu dnia poznawane, następnie sam kreślił tychże portrety, uderzające trafnością spostrzeżeń. I on, i księżna, byli co dzień więcej oczarowani młodą kobietą, ożywiła dom cały, wyrwała z nudów i pewnej smutnej apatji po odjeździe syna matkę stroskaną.

— Nie tylko jest nadzwyczaj miłą i dowcipną — powtarzała księżna — ale umie słuchać, gdy drudzy mówią. Jaka przy tem śliczna! jak pełna dystynkcji w ułożeniu!

W głębi duszy żywiła biedna matka promień błogiej nadziei, iż kobieta tak młoda, piękna, urocza, bogata i świetnego rodu, byłaby partją jedyną dla ukochanego syna, gdyby starał się jej podobać. Możeby wtedy przestał włóczyć się jak „Żyd wieczny“ po świecie i miała przy sobie dwoje dzieci najmilszych.

Obie damy były wszędzie przyjmowane z ramionami otwartemi. Erminja utrzymywała, wbrew zdaniu hrabiego, iż nawet w Paryżu nie można by znaleźć większej uprzejmości i grzeczności, niż doświadcza się w towarzystwach angielskich.

— Zaczekaj trochę milady! — rzekł jej pewnego wieczora — jesteś nadto piękną, aby ci to mogło ujść bezkarnie. Podczas gdy młode miss tutejsze ściskają ci rękę, zapewniając o przyjaźni dozgonnej, podpatrują z uwagą, czy nie znajdzie się w tobie jaka strona ujemna, do wynicowania. Są w rozpaczy, że nic znaleźć nie mogą... Mam nadzieję, że znajdą cię milady tak doskonałą, iż zawstydzone broń złożą, inaczej wkrótce by ci przyszło żałować zaczarowanego pałacu w Alpino, gdzie kwiaty nie znały zazdrości, a ptaki nie umiały czernić i szarpać sławy swojej nawzajem.

— A nie mówiłam ci — wtrąciła księżna — iż zajmuje się ten niegodziwiec, jedynie krytykowaniem naszych kobiet?... Myślę nieraz, iż jego dowcipy ostre i sarkastyczne, przyczyniły się wielce do zbrzydzenia w oczach Willjama, naszych dam salonowych i naszych zwyczajów.

— Protestuję! — hrabia żywo zawołał. — Dziwactwa księcia Whitefield nie ciężą bynajmniej na mojem sumieniu. — Jeżeli nie cierpi tutejszych salonów, to dla tego, że w ogóle jest to duch niepodległy, nie znoszący żadnych pęt i żadnego przymusu, że nie jest w niczem podobny do tutejszych salonowców, że jednem słowem: jest dzieckiem popsutem, rozpieszczonem, któremu było zawsze wolno robić, co mu się podobało. Nie gniewaj się droga księżno, ale cóż dzisiaj na to poradzić?! Jest on niesłychanie wrażliwym, pełnym rozumu, ale jeszcze więcej dającym się unosić fantazji, entuzjasta dla sztuki i piękna, poeta sercem całem! To też ucieka z dusznej i prozaicznej atmosfery salonów arystokratycznych, goniąc za poezją po szerokim świecie, czego twój księżno sługa najwierniejszy, nie może mu znowu za tak wielką zbrodnię poczytywać.

— Znajdujesz więc hrabio całkiem w porządku, iż żyje wiecznie za granicą — księżna wzruszyła niecierpliwie ramionami — i pogardza własnym krajem i ziomkami, wśród których nie znalazł zapewne jak tylko głupców i nudziarzy?

— Nie podsuwaj mi księżno w łasce swojej, myśli, których nigdy mieć nie mogłem. Tłumaczę po prostu przyczynę jego częstych wędrówek. Z pewnością byłoby do życzenia, żeby raczej bawił w kraju i utrzymywał dom odpowiednio do stanowiska i nazwiska, które mu nosić przypadło. I ten czas nadejdzie, skoro w nim obudzi się ambicja i żądza sławy. W jego wieku atoli, chętniej słuchamy głosu serca i dajemy się unosić bujnej wyobraźni, niż powodujemy się rozsądkiem i poczuciem obowiązków.

— Słysząc cię hrabio, można się spodziewać, że wróci do kraju dopiero z włosami zupełnie siwemi! — rzuciła się księżna rozdrażniona.

— Lub gdy znudzi się włosami czarnemi — uśmiechnął się się hrabia znacząco i sarkastycznie.

Księżna szybkim ruchem nakazała mu milczenie, i natychmiat hrabia posłuszny jej skinieniu, zaczął mówić zupełnie o czem innem.

— Włosy czarne?!.. Taką mnię widział — pomyślała Erminja.

Dni następnych nie było więcej mowy o księciu. Czas tak był zajęty wizytami i przyjmowaniem gości nawzajem, iż hrabia błogosławił wieczory wyjątkowe, które mógł spędzić we trójkę tylko z księżną i Erminją. Wychowana przez starców, młoda lady wiedziała czem ich zająć, wiedziała jakiemi staraniami otoczyć osoby w wieku późniejszym, aby im zrobić przyjemność, aby rozgrzać im serca. Jej swoboda i wesołość ujmująca, była słodkiem, niewinnem pochlebstwem, złożonem w hołdzie jej nowym przyjaciołom, dowodziła tem, że jej nie nuży ich towarzystwo, a to tak cieszy starych, gdy widzą, że jeżeli już nikogo zająć sobą nie potrafią, to przynajmniej nie wydają się młodym zbyt nudnymi i uciążliwymi. Wieczory takie w ścisłem kółeczku spędzane, Erminja ożywiała rozmową zajmującą i rozumną, opromieniała staruszków czułością duszy swojej najszlachetniejszej, w jej głosie miękkim, przyciszonym, był dźwięk czysty, melodyjny, do serca trafiający... Jakże mógł kto oprzeć się tylu wdziękom, tylu przymiotom?! Została też wkrótce dzieckiem ukochanem przez wszystkich.

Jedno ją dziwiło... nie mówiono więcej o Willjamie... Uważała nawet, iż starannie unikano sposobności, która mogłaby imię jego wpleść w rozmowę. Znalazłszy się raz sam na sam z hrabią, skorzystała z tego, i spytała czy wkrótce księcia spodziewają się z powrotem.

— Niepodobna mi na to pytanie kategorycznie odpowiedzieć. Willjam sam by tego nie potrafił. Należysz zupełnie do rodziny, kochana lady Stève, mogę zatem mówić z tobą otwarcie. Otóż ten fantasta, zakochał się w jakiejś istocie tajemniczej. Mam nadzieję, że wyleczy się rychło z tego szału. Księżna jednak

nie chce wierzyć mojemu staremu doświadczeniu, iż podobne miłostki trwać długo nie mogą i jest tem wielce zgryzioną i zaniepokojoną

— Kim że jest przecie ta istota tajemnicza? — szepnęła Erminja z sercem gwałtownie bijącem.

— Śpiewaczką, lady kochana! Szaleństwo istotnie nie do przebaczenia, tracić czas na awanturę tak pospolitą!

— Dla czegoż ma być pospolitą? — Erminja spytała.

— Bo takiemi są wszystkie damy zakulisowe. I ona jest zapewne córką jakiego rybaka lub aktora. Nie oskarżaj jednak o zły gust Willjama. Słyszałem tę artystkę w Medjolanie. Talent to genjalny, a piękność tak uderzająca, że wyznaję szczerze, musiałem ciągle sobie przypominać szósty krzyżyk, który niebawem na kark mi wlezie, aby nie zabrnąć również i nie posunąć się za daleko w szalonym zapale. Nadzwyczajna ta śpiewaczka, łączy z głosem najcudowniejszym metodę doskonałą, wyraz zawsze trafny, tak w wesołości, jak i w miejscach namiętnych i dramatycznych, obok tego postawa i dystynkcja królowej, tylko niestety, królowej zakulisowej, która, gdy raz kortyna zapadnie, traci królestwo wraz z sztucznem ułożeniem i zostaje napowrót dziewczyną z ludu, całkiem pospolitą. Co mnię w niej zachwycało, to kontrast nadzwyczajny. Wyobraź sobie lady płeć smagłą prawdziwej Włoszki, a do tego oczy duże, jasno niebieskie. Dwa turkusy w złoto brunatne oprawne, mówiąc stylem madrygałowym. Spojrzenie anielskie. Można było myśleć doprawdy, iż ma się przed sobą dziewicę niepokalaną, dziecko naiwne przed sobą. Koniec końców, jest to istota czarująca, od natury hojnie obdarzona, i ja, który ją widziałem, nie dziwię się, iż ktoś, co ma lat dwadzieścia sześć, lata za nią jak opętany, szczególniej uwzględniwszy ciekawość podsyconą do najwyższego stopnia tajemnicą niedocieczoną, którą się otacza, a która dodaje jeszcze uroku tej i tak prześlicznej osóbce. Nikt nie wie kim jest, skąd przybywa, nikomu nie wolno z nią mówić, nikogo do niej nie wpuszczają, publiczność widzi ją tylko przy blasku kinkietów... Na dobitek rozrzuca złoto pełnemi garściami artystom ubogim, więcej nawet niż to, co zarobi swoim gardziołkiem, i wreszcie, niby czarodziejka w bajkach fantastycznych, znika z horyzontu! Zapewne jakiś panujący, lub co lepsza król giełdowy — ci mają teraz więcej pieniędzy, niż głowy naprawdę ukoronowane — musi jej ułatwiać te wydatki nadzwyczajne. Usłyszawszy ją w Medjolanie, Willjam odurzony, oczarowany, puścił się w pogoń po całych Włoszech za tem zjawiskiem cudownem, ja stary, więc z potrzeby rozsądniejszy, a niegodny grać rolę mentora — bardzo śmieszną i niewdzięczną w każdym razie — puściłem na cztery wiatry mojego *Telemaka*, wracając w progi domowe. Mój młody przyjaciel, nie dopędziwszy i nie odszukawszy swojej bogini, powrócił wreszcie i raczył mnie wybrać na powiernika miłości czysto fantastycznej. Dnia pewnego dowiadujemy się atoli z dzienników, że sławna *Diva* ma się w Wiedniu pojawić... Oho! mego ptaszka już nie ma! Kiedy wróci? Bóg to raczy wiedzieć!... Buja zapewne ze swoją gwiazdą nad brzegami Renu, lub kołysze się przy akompaniamencie jej *barcaroli* niezrównanych, na srebrnych falach jezior szwajcarskich. Oby raz przesyt nastąpił, i on mógł do matki powrócić! Oto kochana lady Stève, cała historja! Doszła zapewne i do ciebie wieść o sławnej *L'Ombrze?*

— Ah! to *L'Ombra?* — szepnęła Erminja z twarzą rozpromienioną.

— Wiesz może milady co się z nią stało?

— Zapewne przemieniła się w słowika i pod niebo frunęła...

— Żartujesz sobie z biednego Willjama! Że też damy salonowe i najszlachetniejsze, nie mogą zdobyć się nigdy bodaj na odrobinę chrześciańskiej litości i miłosierdzia dla słabostek podobnych. Źle zrobiłem, opowiadając ci lady z takiemi szczegółami, niegodną twoich uszek nędzną awanturę!

— Ależ nie, nie! — żywo zaprotestowała. — Wielce mnię to zainteresowało. Lubię passjami w młodych entuzjazm, choćby nawet był trochę szalonym... Twoje hrabio opowiadanie, podnieciło moją ciekawość i tem bardziej pragnę poznać księcia Whitefield.

— Kocha mnię! kocha! — wykrzyknęła Erminja pełną piersią, skoro się samą znalazła. — Aby mnię odszukać, porzuca kraj własny, matkę, przyjaciół! Gdyby mógł odgadnąć, iż ta, za którą goni, jest tu, przy jego ognisku!

Po raz pierwszy dziwna niepewność w umyśle jej powstała. Zobaczy ją tak odmienną od tej, która go usidliła. Czy oko kochanka potrafi odgadnąć, iż to samo serce bije w łonie lady Stève, które przemawiało do niego tonami *L'Ombry?* Nie traciła jednak nadziei.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Trzy dni upłynęło, jak pani de Planche-Mibray napisała ten list, któryśmy poprzednio czytali, a zatem od trzech dni wróciła była do Planche-Mibray. Powrót jej witanym był jako tryumf niespodziewany, a wszyscy słudzy w zamku, którym Jan powiedział powróciwszy: „Nasza dobra pani jest dla świata straconą!“ uczuli niknącą tę antypatję do pana de Villenave, którą zawsze mieli. Czyż nie on ją im powrócił?

P. de Villenave umieścił się zresztą w Planche-Mibray jak najskromniejszy z gości.

Dawniej, gdy był jeszcze zupełnie młody, zajmował w zamku, podczas wakacji, maleńki pokoik na drugiem piątrze w wieżyczce. I teraz zamieszkał ten sam pokoik.

Nazajutrz, po przybyciu do zamku, pojechał przed wschodem słońca na polowanie. Pani de Planche-Mibray widziała się z nim dopiero wieczorem przy obiedzie.

Jak widzimy p. de Villenave był zręcznym komedjantem. Umiał przybrać powierzchowność człowieka zrozpaczonego, który oczekuje śmierci jak wybawienia.

— Moja ciotko — mówił do baronowej de Planche-Mibray — będę walczył, będę próbował! Dopokąd sił mi nie braknie zostać tutaj, zostanę. Ale nie będziesz mię zatrzymywać, nieprawdaż? jeżeli ci powiem, że to poświęcenie jest nad moje siły?

Mowa ta wzruszyła do głębi baronowę.

Odkąd p. de Villenave wyrwał ją z klasztoru, był on zupełnie innym człowiekiem w jej oczach. Była przekonaną, że kochał ją szczerze i nie był zdolnym do żadnych podłych wyrachowań.

Przez te trzy dni, które prędko upłynęły, baronowa próbowała powrócić do zwykłych zajęć. Czyż stary nie skreślił jej programu?

— Tak — mówiła do siebie — będę czynić dobrze, odnowię kościół, zbuduję szpital, założę szkołę. Ponieważ szczęście nie istnieje dla mnie, poświęcę się obowiązkom, i będę miała siły do życia.

Ludzie z Coulanges, którzy dowiedzieli się z rozpaczą o odjeździe ich pani, witali jej powrót z radością bez granic. Przez te trzy dni zamek był oblężony ludźmi.

Jan wszystkim biednym rozdawał jałmużny, płacząc z radości.

P. de Villenave powracał wieczorem, smutny i strapiony, mówił mało i oddalał się wcześnie.

Nie lubiano go w ogóle dawniej, ale teraz tak samo jak służba zamkowa, i ludzie ze wsi inaczej o nim sądzili. Byli nawet tacy, którzy wzdychali, mówiąc po cichu: jakie to nieszczęście, że pani baronowa nie może zapomnieć pana de Maugeville, bo gdyby nie to, wyszłaby za pana de Villenave, a zawsze to przecie siostrzeniec nieboszczyka barona.

Wszystkie te szepty i życzenia, wypowiadane dyskretnie, dolatywały uszu baronowej. A zresztą czyż położenie jej nie było dziwaczne?

Dlaczego p. de Villenave nie wyjeżdżał z zamku, będąc ciągle tylko jej siostrzeńcem? Z drugiej strony, czyż mogła mu pozwolić odjechać? A lepiej, niż ktokolwiek, znała baronowa stosunki majątkowe siostrzeńca.

P. de Villenave prawie wszystko przetracił. Jeżeli miał jeszcze z dziesięć tysięcy, to było najwięcej.

A człowiek dobrze urodzony, może przyjąć wszystko od kobiety, której daje swoje imię, gdy tymczasem od żadnej innej nic nie przyjmie.

Odmówi przyjęcia połowy majątku baronowej, tak samo jak nie przyjął całego.

Wszystko to zdawało się zamykać panią de Planche-Mibray, w jakiemś kole fatalnem i nieprzebytem.

— Co tu robić? co mam uczynić? — zadawała sobie to pytanie prawie nie do rozwiązania, przechadzając się po parku przy wschodzie słońca.

Czas był prześliczny, powietrze cudowne, pełne woni drzew aromatycznych. Zieleń roskoszna rozścielała się do koła. Zdala widać było krówki pasące się opodal od rzeki, a spiew wieśniaków, idących na pole, i spiew wesoły skowronka, łączyły się razem i wznosiły w niebo.

W całej naturze spokój i cisza panowała zupełna.

Baronowa usiadła na ławeczce, w miejscu gdzie widok był prześliczny na całą okolicę.

— Boże mój! — szeptała — poradź mi, natchnij co mam czynić!...

Wtem drgnęła, usłyszawszy odgłos kroków. Obróciła się i obaczyła pana de Villenave. Zbliżał się powoli do niej, blady, ale pełen rezygnacji.

— Kochana ciotko — rzekł do niej, całując ją z uszanowaniem w rękę — chciałem z tobą pomówić chwilę i dlatego tu przyszedłem, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

— Mów pan — rzekła spokojnie baronowa.

— Ciotko moja — mówił p. de Villenave — przepaść nas dzieli i wiecznie dzielić będzie. Kochasz umarłego, a ten umarły był moim przyjacielem. Obecność moja tutaj jest zniewagą dla jego pamięci, strasznem zmartwieniem dla ciebie, rozpaczą bez granic dla mnie. Przed tygodniem wpisałem się do pułku żuawów. Przed tygodniem chciałem zginąć. Dziś spokojniejszy, łagodniejszy, uchylam się pełen rezygnacji pod tym ciosem wymierzonym ręką Boga, i przychodzę ci powiedzieć: Chrześcijanin nie powinien umierać, aż Bogu się tak spodoba. Przysięgam ci więc, że nie będę szukał śmierci, ale błagam cię, pozwól mi odjechać.

Pani de Planche-Mibray milczała.

— Wysłuchaj mię droga ciotko — mówił dalej p. de Villenave — wyznaczyłem sobie dwa lata. Przez te dwa lata będę żołnierzem. Jeżeli nie zginę, uchylę głowę przed Opatrznością, i będzie to dla mnie dowodem, że muszę usłuchać praw, które rządzą ludźmi naszego pokolenia. Powrócę tutaj i powiem tobie: „Moja ciotko, przychodzę wyszukać panienkę dobrze urodzoną, którąby zechciała zostać żoną moją, a będę dla niej jak najlepszym mężem, i proszę cię o adoptowanie naszej pierwszej dzieciny, ażeby imię de Planche-Mibray nie zaginęło.“ — Powiedziawszy to, p. de Villenave czekał odpowiedzi.

Baronowa miała oczy spuszczone, czuła się strasznie wzruszoną i drżała. Nareszcie podniosła oczy, spojrzała na pana de Villenave i rzekła:

— Widzę, że mnie kochasz, jestem teraz tego pewna, a Bóg mi świadkiem, że chciałabym ci odpłacić się miłością wzajemną.

Villenave patrzył na nią wzruszony.

— Serce moje zamarło — mówiła dalej baronowa — ale mam w sobie poczucie obowiązku i czuję, że obowiązkiem moim jest zostać twoją żoną. Nie wymagaj odemnie miłości! Miłość moja jest w niebie! Ale będę uczciwą żoną, przywiązaną do ciebie, i starać się będę być twoją przyjaciółką.

P. de Villenave pobladł i upadł na kolana.

Wspólnik i morderca Corinny, był komedjantem aż do końca.

— Cioteczko moja — mówił — powodujesz się twojem szlachetnem sercem, i zdaje ci się, że jesteś związana wdzięcznością.

— Nie, ale obowiązkiem...

— Ciotko moja, pozwól mi odjechać... za dwa lata... gdy powrócę...

— O! nie — odrzekła baronowa — takie rzeczy robią się zaraz, albo nigdy... Jestem zdecydowaną i zostanę twoją żoną, kiedy zechcesz.

— Ależ dopiero miesiąc, jak Maugeville umarł! Skończmy przynajmniej po nim żałobę.

Baronowa potrząsła głową

— Nie mam prawa nosić żałoby po panu de Maugeville — rzekła. — P. de Maugeville nie był moim krewnym, i nie był także moim mężem.

A gdy p. de Villenave pochylił głowę, i zdawał się przeczyć milcząco, dodała:

— Teraz, gdy masz pan moje słowo, możesz odjechać!

P. de Villenave drgnął.

— To jest: nie odjechać do Rzymu — mówiła dalej — ale opuścić zamek, aż do dnia naszego ślubu. W zamku de Planche-Mibray mógł przebywać mój siostrzeniec, ale nie może mieszkać ten, który ma zostać

moim mężem. Wracaj do Paryża, albo lepiej jeszcze jedź na jakiś czas znowu do przyjaciela twego markiza B.

P. de Villenave wzruszył ramionami. Baronowa uśmiechnęła się smutnie.

— Tak — dodała — wiem, że w tej chwili markiz jest zdyskredytowany w opinji publicznej, dając powód do tego prawdziwym skandalem. Ale, jak pan wiesz, jestem Paryżanką, a zatem więcej pobłażliwą, jak to bywa na prowincji. Jedź pan więc, i pisz jutro do mnie. Mam zostać twoją żoną, a Bóg przykazał słuchać kobiecie. Dzień, który przeznaczysz na dzień naszego ślubu, przyjmuję naprzód.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz baronowa zatrzymała go skinieniem.

— Jedź pan — rzekła cicho — i pozwól mi jeszcze dzisiaj wypłakać się za Manuelem. Ostatni to raz wymawiam to imię przy panu.

. . . .

W pięć godzin potem p. de Villenave wjeżdżał w podwórze zamkowe pałacu de Rochepinte.

Markiz B., ubrany zupełnie czarno, nosząc sumiennie żałobę po Corinnie. siedział przy stole i jadł właśnie śniadanie, gdy p. de Villenave wszedł.

Cały zamek wyglądał także pogrzebowo.

Przedwczoraj właśnie pochowano Corinnę z przepychem nadzwyczajnym, na cmentarzu małego miasteczka d'Entrain, do którego parafji należał zamek Rochepinte.

Wiele młodzieży przyjechało z Paryża, i wszyscy odjechali bardzo wesoło, zostawiając markiza pogrążonego w boleści najkomiczniejszej.

Pokoje, schody i sień, obite były jeszcze suknem czarnem, w pasy białe. Markizowi wszystko to bardzo się podobało, i śmiał się mówiąc:

— Gdyby Corinna, która była tak skąpa, powróciła tutaj do nas, zaproponowałaby mi pewnie, żebym pochował ją jak najskromniej, a dał jej te pięćdziesiąt tysięcy franków, które wydałem na pogrzeb i pomnik dla niej.

Widząc wchodzącego pana de Villenave, zmarszczył trochę brwi.

— Czybyśmy przypadkiem nie byli pobici?! —zawołał.

Ale t...rz wypogodzona pana de Villenave uspokoiła go natychmiast.

— Zwycięstwo! — zawołał tenże.

— Cóż, baronowa opuściła klasztor?

— Naturalnie.

— Wróciła do Planche-Mibray?

— Od trzech dni.

— W takim razie sprawa twoja jest tylko kwestją czasu. Serdeczne życzenia mój przyjacielu.

— Kwestja czasu zależy odemnie.

— Jakto?

— Baronowa zgadza się zostać moją żoną.

— Brawo!

— I zostawia mi oznaczenie czasu...

Markiz zaczął się śmiać.

— Kochany przyjacielu — zawołał — jestem zachwycony. Zresztą miałem przeczucie, że mundur żuana kapłańskiego, posłuży ci doskonale.

— Otworzył mi drzwi klasztoru.

— No, powiedz mi, jak to było. Tylko najpierw siadaj i jedz...

I markiz zadzwoniwszy, rzekł:

— Jeszcze jedno nakrycie dla pana de Villenave.

Przyszły małżonek pani de Planche-Mibray usiadł do stołu i opowiedział z szczegółami wyprawę swoją do klasztoru, i w jaki sposób udało mu się wyprowadzić baronowę.

— Cudownie! — zawołał markiz.

Potem, przybierając minę tajemniczą, rzekł:

— A teraz mój przyjacielu, proszę cię, bądź otwarty ze mną i zwierz mi się.

— Z czego? — zapytał Villenave zdziwiony.

— Przyjechałeś tu z Corinną?

— Tak.

— I ona była twoją wspólniczką.

P. de Villenave drgnął.

— I cóż? — zapytał.

— Tę biedną Corinnę — ciągnął dalej markiz — znaliśmy obaj, nieprawdaż?

— No, jak!

— Nie byłaby ona ruszyła się z miejsca tak za darmo?

— Naturalnie, że nie.

— I wmięszała się do spraw cudzych bezinteresownie?

— Co przez to rozumiesz markizie? Nie pojmuję... — zapytał p. de Villenave, nie mogąc ukryć wzrastającego niepokoju.

— To, że z pewnością musiałeś jej obiecać ładne porękawiczne z posagu pani de Planche-Mibray.

— Nie zaprzeczam — odrzekł Villenave śmiejąc się.

— Ale — mówił dalej markiz — Corinna nie należała do rzędu kobiet, zadawalniających się obietnicą. Śmiała się zawsze ze słowa honoru szlachcica i nie ufała nikomu. Musiała ona coś ci kazać podpisać... bądź otwarty...

— Weksel — odpowiedział p. de Villenave zaniepokojony.

— Masz więc szczęście! — rzekł markiz.

— Co mówisz?

— Powtarzam ci, że masz wielkie szczęście.

— Jakto?

— Zdaje się, że Corinna nie padła ofiarą przypadku i pijaństwa mego biednego Johna, ale, że bandyci Balthazary...

P. de Villenave wstał, nie drgnąwszy nawet.

— Tak — odrzekł — mówią to, ale czy to prawda?

— Najzupełniejsza, bo już ich nawet połapano.

— Gdzież to?

— Koło Nevers.

— Kiedy?

— Właśnie dziś rano. Patrz, czytaj, oto depesza, którą otrzymałem — i markiz podał panu de Villenave telegram następującej treści:

„Nevers 10. rano. Familja Balthazar zaaresztowana. Michał zabity przez braci. Brylanty znalezione. Opór rozpaczliwy.. Dwóch żandarmów zabitych... Przyznali, że spalili szkatułkę i papiery. Brylanty znaleziono w sukniach. Odprowadzeni będą dziś wieczór przez żandarmów do Auxerre. G. komisarz Policji."

P. de Villenave potrzebował całej siły umysłu, aby nie okazać zadowolenia i ulgi jakiej doznał.

Michał nie żyje!

To jest, że jedyny człowiek, którego obawiał się jeszcze, i którego świadectwo mogło obalić mozolny i pracowity gmach, który wybudował, skazany był odtąd na wieczne milczenie grobu.

Potem szkatułka była spalona, a zatem i papiery, które się w niej znajdowały, a między papierami i dwa. które podpisał Corinnie.

— Co?! — zaśmiał się markiz — nieprawdaż, że wymknąłeś się ładnie?

— Jakto?

— Posłuchaj.

— Słucham.

— Podpisałeś weksel Corinnie?

— Tak.

— Ten weksel był pewnie w szkatułce?

— Prawdopodobnie.

— Szkatułka spalona, zatem nie ma nic do płacenia.

— To prawda.

— Ale przypuśćmy, że przeciwnie, znajdują szkatułkę, weksel, i wszystko to jest przedłożone z dowodami oskarżającemi w procesie kryminalnym...

— Cóż więc?

— Zmuszony byłbyś stawać przed sądem i tłumaczyć się, jakim sposobem winieneś pieniądze tej biednej Corinnie?

— To prawda.

— Pani de Planche-Mibray nabiera jakiegoś podejrzenia, i małżeństwo twoje rozchwiane.

— Masz słuszność — odrzekł Villenave — i jak mówisz, jestem człowiekiem szczęśliwym. Mówią to! — uśmiechnął się złośliwie, i zwrócił rozmowę na co innego.

— Ale — rzekł markiz, wstając od stołu — i oto znów jesteś moim gościem.

— Aż do dnia mego ślubu.

— A dzień ten nie będziesz długo odwlekał, nieprawdaż?

— Naturalnie że nie — odpowiedział p. de Villenave.

I nędzny ten człowiek myślał:

— Corinna umarła, Munito, Maugeville i Michał nie żyją. Któż mi teraz przeszkodzi poślubić panią de Planche-Mibray?

VIII.

Było to nazajutrz po dniu, w którym pan de Villenave opuścił Planche Mibray, i pojechał do zamku Rochepinte, gdy Paulina przybyła do Auxerre, i zkąd widzieliśmy ją odjeżdżającą w towarzystwie Bréhaigne.

Pamiętają czytelnicy, że Jakób zostawił je obie na drodze, a sam poszedł szukać wozu ojca Bourgnignon, że w tym czasie pustelnik nadszedł, i wiemy już co zaszło między nim a młodą kobietą.

Gdy Jakób powrócił z wozem, nie zastał już ani podróżnej, ani Bréhaigne. Zaczął je wołać. Głos jego gubił się w lesie. Czekał przeszło godzinę i nikt nie przychodził.

Walizka podróżna Pauliny została na wózku.

Chociaż Jakób nie grzeszył wielką roztropnością, jednak zrozumiał, albo też tak mu się zdawało, że młoda pani, znajdując się sama na drodze pustej przy zmierzchu dnia i w gęstym lesie, bała się, i prowadzona przez Bréhaigne, musiała pójść pieszo do Coulanges, które zresztą nie było tak daleko, bo tylko o milę oddalone.

Jakób włożył więc walizkę na wóz i rzekł do siebie, zaciąwszy konie:

— Dogonię ich na drodze.

Mylił się jednak. Zajechawszy aż na przedmieście Coulanges, nie spotkał nikogo, oprócz dwóch chłopów jadących wozem, którzy mu zaręczali, że nie widzieli nikogo, ani pięknej podróżnej, ani Bréhaigne, którą wszyscy znali.

Jakób zajechał prosto do oberży „pod złotym wózkiem.“ Była to oberża najbardziej uczęszczana.

Jeżeli Paulina nie pojechała do zamku, więc musiała być tam. Ale właściciel odpowiedział mu, że nie widział nikogo.

— Dalbóg! — szepnął do siebie Jakób — konie moje już ruszać się nie mogą... A potem muszę się zająć wózkiem, który zostawiłem na drodze.

Zdjął więc walizkę Pauliny, zaprowadził konie do stajni, i poszedł do kowala, który umiał smarować osie.

Kowal zgodził się nareszcie i zabrał narzędzia, przypiął swego konia do woza, który miano odwieźć do oberży Pod huzarem, gdy już wózek będzie naprawiony.

W dwie godziny potem Jakób powrócił.

Nikt nie widział Pauliny.

W hotelu powiedziano mu:

— Ta pani pojechała z pewnością prosto do zamku, i jutro przyszle po swoją walizkę.

— To możliwe — odpowiedział Jakób.

I zjadł kolację z dobrym apetytem, a kładąc się spać, polecił chłopcu stajennemu, ażeby dał obrok koniom o trzeciej rano. Podróżnych nie było w hotelu.

Oberżysta pozamykał okiennice, a nakazawszy sługom aby pogasili światła, westchnął, trochę, myśląc o żonie, która umarła mu przed sześcioma miesiącami, i szedł właśnie do swego pokoju, gdy ktoś do drzwi hotelu zastukał. Otworzył okno, pytając: — kto tam!

— Otwórzcie ojcze Rousseau — odezwał się głos Bréhaigne.

— Dobrze! — szepnął do siebie — oto pani Jakóba — i poszedł spiesznie otworzyć.

Była to w istocie Paulina w towarzystwie Bréhaigne. Suknia jej poszarpana była dołem od krzaków, a cieniutkie buciki podarte od kolców. Paulina zdawała się bardzo znużona, ale twarz jej jaśniała radością.

Oberżysta ukłonił się jej aż do ziemi i zawołał służących.

Bréhaigne wszedłszy rzekła:

— Pani ta bardzo znużona i umiera z głodu. Dajcie co jeść ojcze Rousseau.

W kwadrans wszystko było gotowe. Rozpalono ogień i nakryto stół. Paulina prosiła Bréhaigne, aby jadła z nią razem. Zkąd przychodziły? Żadna nie powiedziała.

Oberżysta, który był trochę ciekawy, zrobił wzmiankę o niespokojności Jakóba, ale Bréhaigne odpowiedziała mu krótko:

— Zatrzymałyśmy się w drodze, obie z panią.

Potem zaczęła coś mówić cicho z Pauliną, a słowa urywkowe z ich rozmowy, które go dolatyw... nie mówiły mu nic ciekawego. Usiadł więc w kącie przy ogniu w kuchni, zostawiając obie kobiety w sali jadalnej oberży.

Bréhaigne mówiła:

— Widzi pani, że niebezpieczeństwo już przeszło; poznał panią.

— Tak, ale jest jeszcze bardzo osłabiony.

— Nie o niego teraz już obawiam się.

— O kogoż więc?

— O tę biedną panią w zamku. Nie umarła z boleści, ale wzruszenie może ją zabić.

Paulina uśmiechnęła się smutno.

— Przygotuję ją powoli do tej wiadomości — odrzekła.

Zdaje się, że podczas tej tajemniczej wycieczki z pustelnikiem, Paulina musiała wyznać Bréhaigne całą prawdę, bo ta powiedziała jej:

— O! nie będzie to wcale trudnem. Jest to pani, do której zbliżyć się łatwo, dobra i zupełnie nie dumna.

— Słyszałam o tem — odrzekła Paulina. — Zaniesiecie jej mój bilet jutro rano.

Oberżysta wszedł, przynosząc nową potrawę.

— Czy będziecie nocować tutaj matko? — rzekł, zwracając się do Bréhaigne.

— Nie — odpowiedziała poczciwa kobieta. — Wiecie, że mam siostrzeńca w Coulanges?

— Tak, Macieja, żeglarza.

— Właśnie.

— Chcecie iść spać do niego?

— Naturalnie. Ma on zawsze siennik przygotowany dla mnie.

— Dlaczego nie zostaniecie tutaj? — zapytała Paulina.

— Nie — odrzekła. — Nie lubię nocować w oberży; jestem biedna żebraczka. A zresztą siostrzeniec mój gniewałby się na mnie, gdybym go nie odwidziła.

Paulina otworzyła walizkę i wyjęła pudełko, w którem były przybory do pisania. Potem napisała bilet następujący:

„Pani baronowo!“

„Nie mam zaszczytu być ci znaną, i może nawet imię moje jest ci zupełnie obce. -- Jednakże byłabym szczęśliwą, gdybyś chciała mię przyjąć choćby na chwil kilka.

„Przyjechałam umyślnie z Paryża, bo mam ważne rzeczy do opowiedzenia.

„Nie odrzucaj mej prośby. Błagam cię na kolanach w imieniu pana Maugeville, którego opłakujesz.

Paulina Régis.“

Spodziewała się, że chociażby drzwi pałacu pani de Planche-Mibray były najszczelniej zamknięte, to imię de Maugeville otworzy jej je na oścież.

Złożyła bilet i oddała go Bréhaigne. Ta rzekła do niej:

— Jutro, o wschodzie słońca, pójdę do zamku. Dobranoc pani, do widzenia.

Hotel pod złotym wózkiem jest bardzo dobrze utrzymany. Oberża to małomiasteczkowa, ale czysta, i w której znaleźć można niejaką wygodę

Gdy Bréhaigne odeszła, Paulina kazała się zaprowadzić służącej do pokoju, który jej przygotowano.

Meble były tam orzechowe, firanki wprawdzie perkalowe, ale białe, pościel na łóżku nęcąca swoją białością.

Pokój ten wydał się Paulinie pałacem. Bo też Paulina od kilku godzin serce miała przepełnione radością. Maugeville nie umarł!

Jednakże nie położyła się zaraz do łóżka.

Nieraz po wzruszeniu radośnem następuje smutek

Czy miała prawo Paulina cieszyć się teraz, gdy wiedziała, że on żyje? Czyż nie umarł na zawsze dla niej?

Otworzyła okno, sparła się i wychyliła głowę, by odetchnąć świeżem powietrzem nocnem, myśląc o tym człowieku, którego kochała, a który nie dowie się nigdy o jej miłości; o tej kobiecie, której miała zamienić rozpacz w szczęście, a która nie będzie wiedzieć, ile ona cierpi z jej radości. I Paulina westchnęła, a łzy zakręciły się jej w oczach, gdy nagle w podwórzu cichym, na które wychodziły jej okna, usłyszała szmer kroków, i światło latarni zabłysło. I spostrzegła oberżystę, idącego podwórzem, a za nim jakąś kobietę.

— Nie odmawiam nigdy kawałka chleba biednym ludziom — mówił ojciec Rousseau. — Chodźcie tędy moja poczciwa kobieto. Przespicie się w magazynie, gdzie jest całkiem świeże siano. Będzie wam tam doskonale.

Paulina nie mogła ich widzieć dobrze, bo światło latarni migotało.

Oberżysta zatrzymał się przed drabiną, która stała właśnie naprzeciw okien Pauliny. Drabina ta prowadziła na strych, który znajdował się nad stajniami.

Tu oberżysta usunął się.

— Idźcie — rzekł — drzwi są otwarte.

Wtedy światło latarni padło ukośnie na twarz tej kobiety. Paulina zobaczywszy ją, drgnęła.

Była to żebraczka, którą przeminęła dziś rano na drodze z Moniteaux do Auxerre.

Żebraczka o twarzy smagłej, włosach czarnych, oczach błyszczących. I Paulina zatrzęsła się przestraszona.

— Czy nie była to Dolorés, siostra cygana Munita?

Żebraczka weszła po drabinie na strych, zamknęła drzwi za sobą, i oberżysta odszedł.

Ani ta kobieta, ani on, nie zauważali Pauliny w oknie.

Paulina stała tam jednak, z bijącem sercem, głową rozpaloną, przypominając sobie opowiadanie swej pokojowej, i straszne przysięgi zemsty cyganki Dolorés.

Jednakże, pomimo tego podobieństwa, było to tak niepojętem, żeby ta kobieta i Dolorés mogły być jedną i tą samą osobą, żeby zalotnica bogata, wyjechawszy pociągiem umyślnym z Paryża, zmieniła się tak na drodze, iż Paulina znów wątpić zaczęła.

A potem wszyscy cygani, bogaci czy ubodzy, tak są do siebie podobni.

Zresztą w Paryżu Paulina tylko przelotnie widziała Dolorés, i zpewnością niepoznałaby jej, gdyby się spotkały na bulwarach, lub której ulicy.

— Mniejsza o to! — szepnęła do siebie — jutro rano przestrzegę panią de Planche-Mibray. Niech się ma na ostrożności!

I chwilę nawet młoda kobieta myślała, czyby nie wyjść z swego pokoju, zawołać oberżystę, i kazać się zaprowadzić w nocy do zamku de Planche-Mibray.

Ale odmyślała się potem. A zresztą najbardziej energiczny i czynny umysł podlega zawsze znużeniu ciała. Paulina nie spała nocy zeszłej.

Ujechała przeszło pięćdziesiąt mil koleją, a do dwudziestu powozem: co więcej szła kilka godzin pieszo w lesie, przeto była mocno znużona, mimo radości, jakiej doznała, znajdując pana de Maugeville żyjącego.

Nareszcie — i był to może ostatni argument, który zniewolił ją położyć się do łóżka — przypuściwszy, że cyganka Dolorés i żebraczka były jedną i tą samą kobietą, nie było niebezpieczeństwa na razie. Dolorés nie przebrała się w suknie żebrackie, aby wejść w biały dzień do zamku.

Ona z pewnością chodzić będzie w około zamku, dzień albo dwa dni, tworząc plany i przedsiębiorąc rozmaite ostrożności, a Paulina będzie miała zawsze czas uprzedzić panią de Planche-Mibray i jej ludzi. Położyła się więc do łóżka.

Kilka chwil jeszcze walczyła ze snem, dręczona niepokojem, ale ostatecznie sen zwyciężył i Paulina zasnęła.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.